

PAWEŁ JARNICKI
Uniwersytet Wrocławski

W sprawie wystąpienia Wojciecha Sadego: *O tym, co decyduje o naukowości badań przyrodniczych*

Także i dzisiaj naucza się dyscypliny, która swoje spekulatywne badania niemal zawsze przeprowadza na kilku symbolicznych przykładach, a związki logiczne między badanymi obiektami uznaje przed i ponad wszystkimi związkami: jest nią spekulatywna teoria poznania¹.

Większość dobrodziejstw naszej cywilizacji przyjmujemy dziś jako coś oczywistego. Możemy dzięki temu skoncentrować się na swojej specjalności, ale jednocześnie zabija to naszą ciekawość i zachwyty. Poeci nie piszą już wierszy o maszynach i dźwigach, mało kogo też obchodzi, na jakiej zasadzie działa na przykład to skomplikowane urządzenie, jakim jest komputer, zadowolamy się nauczeniem się jego obsługi i nie ma też nic złego w tym, że kierowcy nie znają się na budowie silnika swego samochodu. Obcowanie z gotowymi produktami ułatwia nam życie (nie musimy tracić czasu na zgłębianie zasad działania wszystkich urządzeń, które nas otaczają), ale odbiera zachwyty. Profesor Sady podjął próbę odzyskania dla nas tego zachwyty nad nauką i jej osiągnięciami. Mogę tylko dołączyć skromny głos do tego (godnego poety) zadania. Nie wypada jednak ku chwale nauki opiewać polemisty, mój głos nie będzie więc głosem bezkrytycznym.

Po przeczytaniu tekstu wystąpienia profesora Sadego trudno powstrzymać się przed zadaniem sobie pytania, czy nie przedstawił on czasem śmiałej hipotezy. Jest to pytanie oczywiście tyleż prowokacyjne, co błędne, gdyż wykład ten nie ma pretensji do bycia nauką w sensie nauk przyrodniczych (znaleźć „systematycznego

¹ L. Fleck, *Powstanie i rozwój faktu naukowego*, tłum. M. Tuszkievicz, [w:] *Psychosocjologia poznania naukowego*, Z. Cackowski, S. Symotiuk (red.), Lublin 2006, s. 66, przyp. 17.

zastosowania technologicznego”), nie musi więc spełniać warunków, które sam stawia. Niemożliwość odniesienia treści tego wykładu do niego samego niech będzie przyczynkiem do bardziej ogólnego pytania. (Co do tego, że tradycja filozofii nauki, której językiem operuje Sady, jest zewnętrzna wobec systemu nauki, będziemy chyba zgodni). Czy nie lepsze dla systemu nauki byłoby wyłonienie się perspektywy obserwacji wyższego rzędu („teorii” w sensie etymologicznym) z samego systemu nauki? Cała twórczość Ludwika Flecka, którego profesor Sady cytuje z uznaniem, wydaje mi się takim postulatem stworzenia nauki o poznawaniu (w ogóle, a w jej ramach — nauki o poznawaniu naukowym), która operowałaby metodami naukowymi. Taka samoobserwacja systemu zresztą już się wyłania od pewnego czasu w ramach naturalizowanej epistemologii, socjologii poznania naukowego czy tak zwanych *cognitive sciences*².

W wersji brutalnej pytanie z tym związane brzmiałoby: „po co komu dzisiaj filozofia nauki?”, „po co komu i do czego kryterium demarkacji?”. Nie wątpię w nowatorstwo rozwiązania zaproponowanego przez profesora — o ile orientuję się w filozofii nauki — propozycja profesora nie jest bynajmniej śmiałą hipotezą. Jest to nowatorstwo polegające na skromnym wyciągnięciu wniosków z tradycji, niespełniającym jednak stawianego przez Sadego warunku zastosowalności³. W tym kontekście, po sprecyzowaniu kryterium naukowości, którego samemu się w całości nie spełnia, zarzucanie komuś nienaukowości wydaje się tyleż nieskuteczne, co samobójcze. Zarzut taki stawia Sady etyce medycznej, argumentując w sposób, któremu nie można zaprzeczyć: etycy nie przyczyniają się do wzrostu średniej długości życia. Wypowiedzi niektórych etyków sprzeciwiają się ponadto „użytecznym ideałom pracy dla wspólnego szczęścia”⁴. Zaraz potem następuje stwierdzenie: „rezygnacja obecnie z wiedzy naukowej i jej praktycznych zastosowań ozna-

² Część tych dziedzin Sady umieszcza wśród ruchów antynaukowych — demonizuje na przykład cały konstruktywizm społeczny jako pokłosie „ideologicznego ataku” na naukę późnych lat 60. XX w. Wylądował więc konstruktywizm społeczny w jednym worze z ruchami Nowej Ery i Nowej Lewicy. Z pewnością na część konstruktywistów społecznych zbyt duży wpływ mają ruchy emancypacyjne (stosowanie kategorii „interesu” jakiejś grupy społecznej jest tu chyba najlepszym papierkiem lakmusowym tego wpływu; uważam to wyrażenie za szkodliwe, czego nie będę tu rozwijał — nauki społeczne znają dziś dużo lepsze i nieantagonizujące stron narzędzia), ich badania są ukierunkowywane, a wyniki formułowane wedle poetyki sensacji i obalania wciąż powszechnie wyznawanych mitów, przesądów oraz demaskowania uprzedzeń. (Sytuacja nie jest prosta, bo ci konstruktywiści są często poprawnymi empirykami). Jest to jednak nurt zróżnicowany i uznawanie go (jak rozumiem, z powodu odmiennych założeń epistemologicznych) za antynaukowy jest nieuczciwe.

³ Mimo całej popularności filozofii nauki Poppera okazało się, że naukowcy praktycy wstawiają go do przypisów *ex post*, w trakcie badań niespecjalnie przejmując się wymogiem fałsyfikacji (zob. na przykład N. Gilbert, M. Mulkey, *Putting philosophy to work: Karl Popper's influence on scientific practice*, „Philosophy of the Social Sciences” 11 (1981), s. 389–407; *idem*, *Opening Pandora's Black Box. A Sociological Analysis of Scientists' Discourse*, Cambridge 1984); filozofia nauki może tu więc pełnić dwie funkcje: 1) wstawienie popularnego filozofa nauki do przypisu dodaje prestiżu, 2) filozofia nauki jest porywającą do badań poezją, której treść jednak, w ferworze badań, traci na znaczeniu, by powrócić w momencie uzasadniania.

⁴ To sformułowanie literaturoznawcy przywodzi na myśl postać owego orędownika nauki i (humanistycznego) pedagoga, piszącego o literaturze do wielkiej encyklopedii *Socjologii cierpienia*, której powstanie będzie miało na celu dalszą walkę z cierpieniem ludzkim, chorobami i śmiercią — Settembriniego.

czalaby śmierć ok. sześciu miliardów ludzi” — jak gdyby któryś z etyków do tego nawoływał⁵. Adresatem uszczypliwości profesora są oczywiście etycy zakorzenieni w tradycji katolickiej, którzy nie tyle sprzeciwiają się ideałom wspólnego szczęścia (użyteczności już tak, ale to tylko na bardzo wysokim poziomie abstrakcji), ile inaczej je definiują (i szczęście, i wspólnotę). Konsekwentni katolicy musieliby się wyrzec swojej wiary, żeby wykluczyć ze swej wspólnoty „życie poczęte”, zakres wspólnoty jest więc dla nich szerszy. Dla nauki hitlerowskiej zakres pojęcia wspólnoty był natomiast węższy. Choć przypuszczalnie poglądy moje i profesora są w tej materii zbieżne, to tego rodzaju retoryczności lepiej chyba unikać, taka argumentacja nie ma bowiem prawa przysporzyć nowych zwolenników naszemu światopoglądowi, służy tylko mało subtelnemu rozpoznawaniu „swoich”.

Sady wydaje się jednak podważać sens refleksji etycznej w ogóle. Uważa, że refleksja etyczna nie tyle blokuje postęp wiedzy naukowej, ile stawia mu pewne ograniczenia i przez to ukierunkowuje; może być pożyteczna. Sprzężenie systemu nauki z systemem kapitalistycznym stworzyło świetne warunki dla rozwoju obu systemów, jednocześnie jednak ten system ekonomiczny nie wytwarza żadnych ograniczeń dla badań naukowych poza tzw. opinią publiczną, którą dzięki zaawansowanym naukom społecznym da się już dziś dość skutecznie kierować. Zgodnie z logiką swego rozwoju najlepszym rozwiązaniem dla korporacji farmaceutycznych byłoby rozpoczęcie eksperymentów na ludziach, nie robi się tego jednak ze względu na „opinię publiczną” właśnie. Widać dziś gołym okiem, że mimo iż opinia publiczna naszych społeczeństw nie chce wojny, to po przeprowadzonej odpowiednio kampanii medialnej już chce (a to, że jej się odwidzi, nie ma już takiego znaczenia, bo wojnę trudniej zakończyć, niż rozpętać). Jestem też w stanie wyobrazić sobie kampanię, która sprawiłaby, że część przedstawicieli gatunku ludzkiego zostaje wykluczona ze wspólnoty, by robić na niej eksperymenty, a wszystko zgodnie z hasłami wspólnego szczęścia.

Oto na przykład w kraju byłego ZSRR, w którym po upadku imperium system opieki zdrowotnej w naszym rozumieniu nie funkcjonuje, a skłonności do medycyny naturalnej w narodzie nie wynikają jeszcze z mody takiej jak u nas, firma farmaceutyczna zaczyna wspierać powstawanie instytutów szeroko pojętej medycyny „alternatywnej”, by w końcu otworzyć szpital ze służą bakteriologiczną, w którym metodami homeopatycznymi leczy się pacjentów chorych między innymi na nowotwory. Opisałem to w taki sposób, że czytelnik nie powinien mieć wątpliwości, że nie mamy tu do czynienia z leczeniem, ale z obserwacją tzw. naturalnego przebiegu choroby. W rzeczywistości jednak wszyscy mają wrażenie, że wszystko dzieje się tu dla wspólnego szczęścia. Z punktu widzenia etyki medycznej (z pewnością też z punktu widzenia naukowego humanizmu), która niepodjęcie leczenia i obserwowanie naturalnego przebiegu choroby uznaje za nieetyczne (homeopatii nie uznaje za leczenie), doszło tu do wykluczenia pacjentów tego szpitala ze wspólnoty ludzkiej — nie podejmuje się nawet prób terapii według aktualnego stanu wiedzy i techniki. Koszmarne wizje? A może coś podobnego się dzieje? I dzięki

⁵ Ten zarzut odnosi się z pewnością do części zwolenników Nowej Ery, co jednak nie zostało tu wyraźnie oddzielone i z tekstu wynika, że nawołują do tego etycy.

temu wcześniej odkryte zostaną lekarstwa na nowotwory, a zyski korporacji pomnożone i wszyscy będą szczęśliwsi?

Rolę refleksji etycznej (nie jestem w tej dziedzinie specjalistą) widzę z pewnością inaczej, niż zwykle się to przyjmować, ale daleki jestem od negacji potrzeby jakiejś jej formy. (System nauki również potrzebuje hamulców, popularność eugeniki we wszystkich krajach Zachodu staje się dopiero dziś przedmiotem refleksji i badań, choć wciąż wstydliwym). Żyjemy w świecie, który może być w dużej mierze konstruowany (czasem bardzo subtelnymi narzędziami socjotechnicznymi, PR-owskimi itd.), na przykład wedle logiki pomnażania zysków i tak, by pewne procesy były rozproszone (między jednostki, w czasie, w przestrzeni), by jednostka nie mogła łatwo dostrzec celu swojego działania, a tym samym nie czuła odpowiedzialności. Etyka powinna uczyć widzieć to, co jest na pierwszy rzut oka niewidoczne, by etnologowie, którzy wracają z owego kraju z homeopatycznym szpitalem ze służą bakteriobójczą, sponsorowanego przez koncerny farmaceutyczne, widzieli coś innego niż przejawiające się archetypy i wspaniały powrót do natury. Problem, mówiąc może zbyt poetycko, opętania wolą prawdy, żądzą demaskowania i pragnieniem obalania mitów, nierzadko w duchu emancypacji, dotyka dziś część nauk społecznych, podczas gdy, jak sądzę, należałoby się pogodzić z tym, że niczego nie odkrywamy, tylko w demokratyczny sposób pracujemy nad kształtem naszego świata, że uczymy się postrzegać postaci i że to, co powinniśmy robić, to nie demaskowanie, ale uczenie się doskonalszego widzenia postaci (czynienie tego, co rozproszone i niewidzialne, widzialnym i oczywistym) oraz doskonalenie narzędzi ich nauczania.

Dostrzegam jeszcze w tekście Sadego dwa punkty, które pozostawione bez wyjaśnienia będą, jak sądzę, wikłać ten wywód w sprzeczności. Po pierwsze, głównym pomysłem argumentacyjnym eseju jest powiązanie niezaprzeczalnej korelacji między rozwojem nauki i wzrostem ilości ludzi zamieszkujących Ziemię w związek przyczynowo-skutkowy (tzn. rozwój nauki przyczynił się do pomnożenia populacji). Choć z pewnością część zwolenników Nowej Ery mogłaby podawać w wątpliwość założenie, że w tym wypadku „więcej to lepiej”, jednak chyba nikt, kto prezentuje humanistyczne podejście lub jest reprezentantem którejś z wielkich religii, tego nie zrobi. Sęk w tym, że profesor, uznając wzrost populacji za efekt rozwoju nauki, neguje jednocześnie naukowość nauk medycznych i nauk o produkcji żywności („pomijam poglądy, nieznajdujące zastosowania w szeroko pojętej technice (do której zaliczam również »oficjalną« medycynę czy »naukowe« sposoby hodowli zwierząt)”), czyli tych nauk, które przyczyniły się do wzrostu populacji bezpośrednio przez zmniejszenie umieralności i dostarczenie większej ilości żywności. Wymaga to chyba dodatkowych wyjaśnień. Po drugie, należy się zastanowić, w jaki sposób warunek istnienia silnych grup społecznych zainteresowanych praktycznym wykorzystaniem wiedzy naukowej pogodzić z następującym spostrzeżeniem: „Warto zdawać sobie też sprawę z tego, że aż do lat 70. XIX w. w Anglii większość badań eksperymentalnych nad zjawiskami elektrycznymi prowadzili — za własne pieniądze, we własnych domach — bogaci amatorzy” oraz ze stwierdzeniem, że prace Archimedesusa są bez wątpienia naukowe, nawet jeżeli nie znalazły zastosowania w czasie swego powstania.

* * *

Dodanie przez profesora do kryterium demarkacji warunku zastosowalności postrzegam jako wyraźną artykulację tego, co od pewnego czasu „wisi w powietrzu” (co z pewnością wielu naukowcom wydaje się oczywiste, choć tego nie artykułują). Można by się tego warunku doszukać i u Ludwika Flecka — którym ostatnio profesor Sady się zajmuje — choć Fleck nie formułuje takiego kryterium *expressis verbis*, to przypisuje odczynowi Wassermanna status faktu naukowego dopiero po spełnieniu warunku użyteczności (w diagnostyce): „Jeśli związek odczynu Wassermanna z kiłą jest faktem, to stał się faktem dopiero przez swą wysoką użyteczność, przez wysokie prawdopodobieństwo sprawdzenia się w konkretnych przypadkach”⁶. Pod tym względem profesor kontynuuje teoretycznonaukową myśl polskiego bakteriologa, jednak sposób, w jaki to robi (próba werbalizacji tej myśli w języku filozofii nauki), jest już sprzeczny z postulatami Flecka. Dezyderatem Flecka było stworzenie nauki o poznawaniu/myśleniu, która działałaby w sposób naukowy, a nie była tylko filozoficzno-naukową refleksją.

Gdybyśmy chcieli podjąć zagadnienie kryterium demarkacji w sposób naukowy, trzeba by było, jak sądzę, najpierw określić, po co nam takie kryterium. Moglibyśmy chcieć je na przykład zastosować w systemie przyznawania grantów, by uczynić ten system bardziej transparentnym i uczciwym oraz by uniezależnić ten system od planów polityków i nacisków biznesu. Musiałoby to być kryterium, po którego spełnieniu granty można by było przyznawać losowo. Z symulacji, jakie prof. Roman Galar przedstawił nam na spotkaniu koła doktorantów „Nauka o nauce” (Wrocław, 7 maja 2008), wynika, że finansowanie tylko wniosków zgodnych z „obowiązującym paradygmatem”, czyli tych, uznawanych dzisiaj za najlepsze, powoduje, że zasklepia się w jednym sposobie widzenia, co na krótką metę przyspiesza rozwój badań, na dłuższą jednak uniemożliwia zmianę perspektywy, a przez to opóźnia rozwój nauki i prowadzi do marnowania dużej części pieniędzy. Poza rozwiązaniami uznawanymi dzisiaj za najlepsze należałoby również finansować te bardziej szalone i niezgodne z dominującymi standardami. Umożliwiłoby to zachowanie potencjalności kilku perspektyw i nie doprowadzałoby do sytuacji, w której okazuje się, że na przykład w ciągu ostatnich 10 lat prawie wszystkie fundusze na badania fizyków teoretycznych przeznaczone zostały na teorię, którą dziś się porzuca, a która przez ten czas dominowała absolutnie (w przyznawaniu stopni profesorskich i grantów). Uważam, że nie ma jednego kryterium demarkacji w ogóle i bez sprecyzowania praktycznego celu, dla jakiego byłoby ono użyteczne, nie ma możliwości jego sformułowania na gruncie nauki.

Co by się stało, gdybyśmy chcieli zastosować kryterium prof. Sadego do organizacji nauki? Czy potrzebny byłby jeszcze Uniwersytet? Instytuty badawcze działające przy korporacjach w pełni realizują stawiane przez profesora warunki naukowości, a ponadto działają sprawniej i wydajniej niż Uniwersytet. Czy z przyjęcia takich założeń (ustalenia takiego kryterium demarkacji) nie wynika wniosek, że rola Uniwersytetu powinna być ograniczona do dydaktyki, do zapewnienia wy-

⁶ L. Fleck, *Powstanie i rozwój faktu naukowego*, tłum. M. Tuskiewicz, Lublin 1986, s. 102.

kształcenia ogólnego w danej dziedzinie, które będzie można rozwijać i spożytkowywać w korporacyjnych instytutach i politycznych think tankach?

Czegoś w tym kryterium brakuje. Tradycyjnie mówi się o swoistych wartościach świata akademickiego (prawda itp.), etosie akademickim itd., ja nazwałbym to roboczo swoistą demokratyczną kulturą komunikacji (która między innymi sprawia, że młody doktorant może na łamach czasopisma krytykować profesora). Do przedstawionego przez profesora zarysu *historii* powstania systemu nauki dodałbym jeszcze spostrzeżenie badaczy z nurtu „rhetoric of science”. W opisie powstania systemu nauki do sprzężenia poznania naukowego z interesami wpływowych grup społecznych należałoby dodać powstanie w drugiej połowie XVII w. nowej instytucji komunikacji, mianowicie instytucji czasopisma naukowego (początkowo ogólnego, z czasem coraz bardziej specjalistycznego), które przyspieszyły (publikacja książek przebiegała w rytmie przynajmniej kilkuletnim) i zmieniły jakość komunikacji. Również bez tego ów gwałtowny rozwój nauki nie byłby możliwy⁷. Instytucjonalizacja komunikacji między specjalistami — wcześniej częściowo tę funkcję pełniły listy naukowe, nierzadko odczytywane publicznie, ale trafiające przecież do węższego audytorium i w większości nieskładającego się ze specjalistów — przyspieszyła rozwój nauki w sposób wcześniej niespotykany.

Prace Ludwika Flecka są postulatem stworzenia nauki o poznaniu, która metodami naukowymi badałaby ludzkie poznanie (myślenie) w ogóle, ze szczególnym naciskiem na badanie poznania (myślenia) naukowego. Skoro wyłoniła się możliwość badania poznania naukowego (i innych spraw dotyczących nauki) metodami naukowymi, twierdzi Fleck, to podjęcie tej możliwości staje się obowiązkiem naukowca. Proponuję podjąć postulat stworzenia nowej dziedziny nauki i rozpocząć prace, ale nie tyle nad stworzeniem nowej dziedziny nauki, ile nad instytucjonalizacją samoobserwacji systemu nauki. Dziś rozmaite nauki o nauce/naukach czy nauki o poznaniu są rozproszone i bardzo trudno jest racjonalnie zaprojektować i przeprowadzić szeroko zakrojony program badawczy. Taka samoobserwacja dzieje się oczywiście samoistnie, jednak jej instytucjonalizacja (nie w postaci instytutu filozofii nauki czy instytutu historii nauki) 1) zwiększyłaby prawdopodobieństwo wprowadzania wyników badań nad nauką w życie, 2) dałaby być może szansę na racjonalne sterowanie systemem nauki i lepsze stymulowanie tego systemu. Proponuję, byśmy rozpoczęli koncepcyjne prace nad instytucją, która skupiłaby i ukierunkowała wysiłki rozproszonych dziś „metanauk”, filozofii nauki oraz nauk o poznaniu i komunikacji w jednym miejscu.

⁷ Zob. na przykład A.G. Gross, J.E. Harmon, *The Scientific Literature: A Guided Tour*, Chicago 2007.

In reference to Wojciech Sady's lecture:
What determines the scientific character of natural studies

Summary

This paper is a polemic with Wojciech Sady's forgoing paper. The main objection to his new approach to demarcation problem is that this approach does not accomplish the criterion formulated in it (practical application). Sady accuses medical ethics of not being scientific but forgets that he does it from the philosophical (not scientific) point of view. The only reasonable way to solve (philosophers are used to cultivate problems) the demarcation problem is to define its practical aim (practical application!) — what do we need it for? One of such possible aims is to automate the process of distribution of scientific grants.